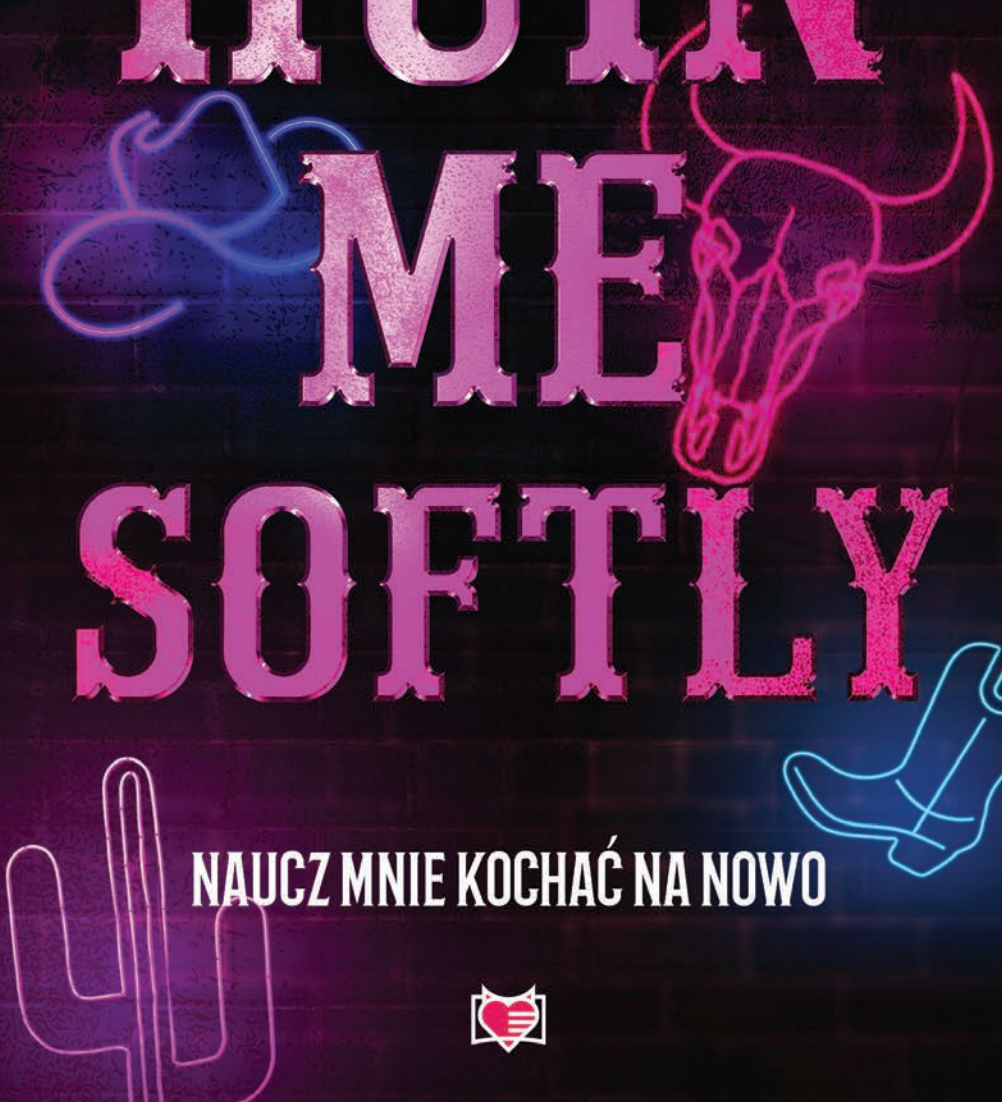


ANNA NAROŻNIAK

RUIN ME SOFTLY



NAUCZ MNIE KOCHAĆ NA NOWO



ANNA NAROŻNIAK

RUIN ME SOFTLY

NAUCZ MNIE KOCHAĆ NA NOWO



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Ewelina Czajkowska
Redakcja: Justyna Yiğitler
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki: Katarzyna Pieczykolan
Zdjęcia na okładce: © pandavector; © Oleh; © Aleksey / Stock.Adobe.com;
© Anastase Maragos; © Armando Guerrero / Unsplash.com;
© kjpargeter / Magnific.com
Wyklejka: © Victor Moussa; © kitbordin / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2026 by Anna Narożniak

Copyright © 2026, Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo
Kobiece sp. z o.o.

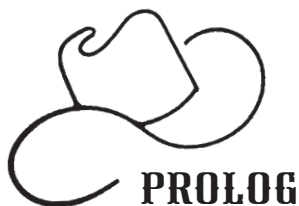
Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-824-9

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



Bliss



Mason

Nigdy nie zapomnę dźwięku drzwi zamykających się tamtego ranka.

Nie huknęły. Nie trzasnęły jak w filmach. Po prostu kliknęły – cicho, spokojnie. Jakby to był zwykły dzień.

A przecież nic już nie było jak zwykle.

Penelope stała wtedy w progu z walizką, której nigdy wcześniej nie widziałem. Miała na sobie ten błękitny sweter, w którym wyglądała jak wiosna – tylko że tym razem w oczach miała zimę.

Nie płakała. Ja też nie.

Powiedziała coś o tym, że nie takie życie sobie wyobrażała i że nie może tak dalej.

Ja stałem z rocznym Codym na rękach, zdezorientowany, jakby ktoś właśnie wyciął mi z mapy pół świata i zostawił ze skrawkami papieru.

Nie prosiłem, żeby została. Nie błagałem. Nie dlatego, że nie chciałem. Po prostu wiedziałem, że jej już tu z nami nie ma – nawet jeśli stała jeszcze na moim ganku.

Kiedy drzwi się zamknęły, Cody zapłakał. A ja po raz pierwszy w życiu nie wiedziałem, co mam zrobić.

Lata później wciąż pamiętam tamten dźwięk. Nauczyłem się wtedy trzymać emocje na krótkiej smyczy – jak dzikiego psa, który tylko czeka, żeby ugryźć. Przewijałem, karmiłem, nie spałem. Nie miałem pojęcia, jak działa butelka dla niemowlaka ani że pranie dziecięcych ubranek to sztuka wojenna. Ale robiłem to. Bo kto inny miałby się tym zająć?

Były noce, kiedy Cody krzyczał, a ja chodziłem z nim po salonie w kółko, nucąc coś, co miało być kołysanką, ale brzmiało bardziej jak przekleństwa rzucane pod nosem. Były poranki, kiedy zasypiałem przy stole z kubkiem zimnej kawy i budziłem się z klockiem Lego przyklejonym do czoła.

Ani się obejrzałem, minęły cztery lata. Cody wyrósł. Ja stwardniałem. Nie dlatego, że chciałem. Po prostu musiałem.

Dziś wszyscy w Prairie Rose znają mnie jako tego z baru – Masona Hollowaya, właściciela The Rusted Oak. Niektórzy mówią, że jestem gburowaty. Może i mają rację. Ale kiedy raz spłoniesz, nie podchodzisz już do ognia za blisko.

Abby

Zawsze mi powtarzano, że nie powinnam oceniać ludzi po wyglądzie. A potem weszłam do The Rusted Oak i poznałam Masona Hollowaya.

Jeśli ktoś kiedykolwiek miał wątpliwości, jak wygląda uosobienie mruka, to proszę bardzo – wystarczy spojrzeć na niego. Wysoki, ciemne włosy, szczeka jak wyrzeźbiona z granitu i spojrzenie, które mogłoby ściągnąć lakier z paznokci.

Na powitanie nie powiedział: „dzień dobry”. Powiedział: „Szukasz kogoś?”.

Tak, geniuszu, dlatego stoję w pustym barze o dziesiątej rano i wyglądam jak dziewczyna, której uciekł autobus.

Oczywiście nie powiedziałam tego na głos – przynajmniej nie wtedy.

Bar pachniał drewnem, whisky i odrobiną kurzu. Z sufitu zwisały stare lampy, a w kątach stały skrzynki po butelkach. Wyglądał na miejsce, które przetrwało niejedną burzę – podobnie jak jego właściciel.

– Słyszałam, że szukacie kogoś do pomocy – powiedziałam, starając się brzmieć miło, ale pewnie.

Mason spojrzał na mnie z góry. Niedosłownie – chociaż różnica wzrostu też robiła swoje. Był jednym z tych mężczyzn, którzy nie potrzebują podnosić głosu, żeby ktoś poczuł się nieswojo.

Przyjrzał mi się uważnie, jakby chciał ocenić, czy potrafię nalewać piwo, czy raczej upuszczę pierwszy kufel.

– Ty? – rzucił tylko, podnosząc brew.

Nie wiem, czy bardziej zirytował mnie jego ton, czy to, że zadając to ironiczne pytanie, wyglądał cholernie dobrze.

– Tak, ja – odparłam, unosząc brodę. – A co, spodziewał się pan drwała z brodą i sześciopakiem?

Tak, ja, panie Zero Uśmiechów Na Dobę. Nie wiem, kto cię skrzywdził (no dobra, wiem – plotki w Prairie Rose roznoszą się szybciej niż dym z grilla), ale może odrobina wiary w ludzi by cię nie zabiła.

Jego brew drgnęła, jakby przez sekundę się zastanawiał, czy właśnie go obraziłam, czy może żartuję.

– Nie wiem, czego się spodziewałem – powiedział sucho – ale na pewno nie... – Urwał.

Świetnie. Patrzył na mnie tak, jakby próbował znaleźć właściwe słowo.

– Nie kogo? – dopytałam słodko. – Blondynki? Kobiety? A może kogoś, kto się uśmiecha?

Kącik jego ust drgnął. Nie uśmiechnął się, ale coś tam się poruszyło. To już prawie sukces.

– Kogoś, kto nie wygląda, jakby miał się rozmyślić po pierwszej rozbitej szklance – odpowiedział w końcu.

– Proszę się nie martwić. Mam dobry refleks. I jeszcze mocniejsze nerwy – odparłam, opierając dłonie na biodrach.

– Tak mówią wszyscy – mruknął.

– Tak mówią wszyscy dobrzy pracownicy – poprawiłam go z uśmiechem.

Na chwilę zapanowała cisza. Mason westchnął, jakby rozważał, czy warto w ogóle ciągnąć tę rozmowę. Zgarnął z blatu papiery, co wyglądało na pretekst, żeby czymś zająć ręce, i oparł się o ladę naprzeciwko mnie.

– Masz jakieś doświadczenie w pracy za barem? – zapytał wreszcie.

– Pewnie. Widziałam wszystkie sezony *Peaky Blinders*, a to się chyba liczy, prawda?

Spojrzał na mnie z taką miną, że przez sekundę naprawdę pomyślałam, że zaraz mnie wyrzuci. A potem... parsknął krótkim, cichym śmiechem. Takim, którego sam chyba się nie spodziewał.

– Świetnie – powiedział. – Zobaczymy, czy Shelby byłby z ciebie dumny.

– Na pewno bardziej niż pan – odpowiedziałam bez zastanowienia.

Jego spojrzenie na chwilę złagodniało, ale tylko na moment. Potem wrócił ten chłodny, rzeczowy ton:

– Spróbuj przez tydzień. Zobaczymy, czy się nadajesz.

– Czyli mam pracę?

– Okres próbny – poprawił mnie.

– A to nie to samo?

– Nie. Ale przekonasz się sama.

Wzruszyłam ramionami i ruszyłam w stronę drzwi.

– Niech się pan nie martwi, szefie. Przeżyje pan ten tydzień. A może nawet mnie pan polubi.

– Wątpię.

– Ja też. – Uśmiechnęłam się przez ramię. – Ale niech pan nie traci nadziei.

Kiedy wychodziłam, Mason stał w tym samym miejscu i patrzył za mną. Nie wiedziałam, czy z niedowierzaniem, czy z zamiarem wycofania swojej decyzji. Na szczęście było na to za późno.

Abby Winslow właśnie dostała pracę w The Rusted Oak.

Kiedy wyszłam z baru, słońce uderzyło mnie prosto w twarz. Nie wiem, czy to przez zmęczenie, czy przez coś innego, ale roześmiałam się głośno. Oto zaczynałam nowy rozdział życia – w miejscu, które pachniało dymem, drewnem i nieufnością. Z szefem, który wyglądał jak grzech, ale miał osobowość kamienia.

A mimo to... coś mnie tam ciągnęło. Nie wiedziałam jeszcze co. Może ciekawość. Może głupota.

Albo po prostu przeczucie, że za tym zimnym spojrzeniem Masona Hollowaya kryje się coś więcej niż tylko whisky i cisza.



ROZDZIAŁ I

Abby

Lato w Prairie Rose minęło tak szybko, że nawet się nie zorientowałam, kiedy klienci w The Rusted Oak zaczęli zamawiać kawę zamiast zimnego piwa. Jednego dnia smażyło słońce i rozbrzmiewał gwar dzieci biegających po ulicy, a następnego w powietrzu unosił się zapach deszczu po zwiastującej jesień burzy.

Podobno w tym roku lato należało do Westona Caldwellella – lokalnego złotego chłopaka i dumy Prairie Rose – oraz Savannah Hollister, kobiety, która jeszcze niedawno przysięgała, że żaden mężczyzna nie zawróci jej w głowie. Cóż, najwyraźniej Weston nie słyszał tej przysięgi, bo zawrócił jej nie tylko w głowie, ale i w sercu.

Teraz mieszkali razem na ranchu starego Samuela, tego, który przez pół wieku wspierał dzieciaki chcące postawić pierwsze kroki w rodeo. Po jego śmierci ziemia przeszła w ręce miasta, a Weston i Savannah odnowili to miejsce i zrobili z niego coś w rodzaju ośrodka dla dzieciaków – prowadzili zajęcia, głównie w weekendy. W wakacje podobno codziennie mieli pełne podwórko. Tak, właśnie oni – bohaterowie miejscowej legendy miłosnej, którą starsze panie komentowały szeptem w sklepie spożywczym.

Nie znałam ich dobrze. Z Savannah rozmawiałam parę razy, głównie przy barze albo w kolejce po benzynę. Była... fajna. Ciepła, bezpośrednia, taka, z którą łatwo złapać kontakt. Ale przyjaciółkami bym nas nie nazwała. Miała swój świat: ranczo, Westona, dzieciaki, a ja... miałam bar. I szefa, który najwyraźniej uważał, że emocje to choroba zakaźna.

The Rusted Oak o tej porze roku pachniał dymem z kominka i starym drewnem. Był czymś pomiędzy drugim domem a polem bitwy – zależało od dnia. Wieczory były tu głośne, czasem chaotyczne, czasem zabawne. Ale jedno się nie zmieniało: Mason Holloway siedzący w swoim biurze, jakby sam Bóg przykuł go do biurka łańcuchem.

Pracowałam tu jako kelnerka od kilku tygodni i zdążyłam się już przekonać, że Mason ma tylko trzy tryby: 1. mruknięcie, 2. westchnienie, 3. patrzenie z dezaprobatą. Mimo że był szefem z piekła rodem, to... musiałam przyznać, że coś w sobie ma. Coś, co sprawiało, że człowiek chciał powiedzieć coś głupiego tylko po to, żeby zobaczyć, czy Mason na pewno potrafi się uśmiechnąć. Nie żebym próbowała... No dobra, próbowałam.

Tego wieczoru ruch był duży. Dwóch facetów z warsztatu samochodowego sprzeczało się o to, który z nich potrafi szybciej naprawić skrzynię biegów, a grupa dziewczyn z lokalnej szkoły tańczyła przy szafie grającej, śmiejąc się zbyt głośno. Typowy piątek.

– Winslow, niech im pani przypomni, że to bar, nie sala balowa – rzucił Mason zza biurka, nawet nie podnosząc wzroku.

– Jasne, szefie – odparłam, nalewając piwo i uśmiechając się słodko. – Ale jeśli nagle zacznie pan tańczyć, to obiecuję, że nikomu nie powiem.

Rzucił mi to swoje klasyczne spojrzenie z rodzaju „Nie wierzę, że to powiedziałaś”.

– Nie mam w zwyczaju tańczyć w pracy.

– A poza nią?

– Też nie.

– Cóż, przynajmniej jest pan konsekwentny.

Zabrzmiało to niewinnie, ale Ben, stary barman, który pracował tu dłużej, niż istniały tutejsze krzesła, prychnął śmiechem.

– Abby, ty się prosisz o kłopoty – mruknął pod nosem.

– Nie proszę się, Ben. Po prostu rozmawiam z szefuńciem – odpowiedziałam, poprawiłam koszulę i podeszłam do kolejnego stolika.

Czasem naprawdę nie wiedziałam, czy Mason mnie lubi, czy tylko toleruje, bo potrzebuje kogoś, kto potrafi powstrzymać klientów przed podpaleniem baru. Ale jedno wiedziałam na pewno: odkąd zaczęłam tu pracować, The Rusted Oak był pełen śmiechu. A może to tylko ja w końcu zaczynałam się czuć częścią tego miasteczka.

Wieczór nabierał tempa z każdą minutą. Z szafy grającej płynęło stare country, kufle brzęczały, a Ben od czasu do czasu mruczał pod nosem coś o tym, że kiedyś ludzie pili po cichu i nie robili rabanu. Wszystko było dokładnie tak, jak lubię: trochę głośno, trochę niespokojnie, ale żywo. Do czasu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Kyle Reddington – facet, którego w Prairie Rose znał każdy, bo nie dało się go nie znać. Zawsze głośny, zawsze pijany, zawsze przekonany, że jest królem świata. Tym razem wyglądał, jakby postanowił ogłosić swoją koronację właśnie w The Rusted Oak.

– Holloway! – wrzasnął od progu. – Przyszedłem sprawdzić, czy twoja whisky wciąż smakuje jak zupa z dębowych liści!

Mason nawet nie podniósł wzroku znad papierów.

– Tak ci się wydaje, bo za dużo pijesz, Reddington. Smak ci się stępił.

– Hah! – Kyle się roześmiał, podchodząc do baru. – A to kto? – Wskazał na mnie z głupim uśmiechem. – Nowa dekoracja?

Zanim Ben zdążył coś powiedzieć, ja już się uśmiechałam. Tyle że nie był to przyjazny uśmiech.

– Nie dekoracja. Barmanka. Ale jeśli pan chce być częścią wystroju, mogę pana powiesić obok poroża nad kominkiem.

Bar ucichł. Ktoś z końca sali parsknął śmiechem, ktoś inny cmoknął z podziwem. Mason wreszcie oderwał wzrok od papierów. Spojrzał na mnie. Potem na Kyle’a i znowu na mnie. A jego wzrok – coś pomiędzy „Co ty wyprawiasz?” a „Czy naprawdę właśnie to powiedziałaś?” – był tak zabawny, że prawie się roześmiałam.

Kyle jednak nie wyglądał na rozbawionego.

– Coś powiedziałaś, laleczko? – spytał, zbliżając się o krok.

– Tak. Że wiszenie na ścianie dodałoby panu uroku.

– Abby – usłyszałam niski głos Masona. Ten ton, który pewnie zatrzymywał huragany. – Daj spokój.

Ale było za późno. Kyle przechylił się przez ladę, aż poczułam jego oddech.

– Ty chyba nie wiesz, z kim rozmawiasz.

– Wiem – powiedziałam spokojnie – z facetem, który zaraz wyleci stąd szybciej, niż otworzył usta.

Wtedy Mason wyszedł z biura. Nie krzyczał. Nie potrzebował. Stał między nami, a cała sala zamilkła.

– Kyle, wiesz, że cię lubię, ale jeśli wypowiesz w tym tonie jeszcze jedno słowo, skończysz na zewnątrz. – Jego głos był opany, ale twardy jak stal.

Kyle mruknął coś pod nosem, po czym odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Chwilę trwała cisza. Potem ktoś z końca sali klasnął.

– Abby Winslow, panowie i panie! – zawołał Ben, śmiejąc się pod nosem.

Mason spojrzał na mnie. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Mogło się to skończyć gorzej.

– Ale się nie skończyło – odparłam, opierając się o ladę. – Chyba powinnam dostać premię za utrzymanie porządku, nie?

– Albo reprimendę za prowokowanie klienta.

– Nie prowokowałam. Ja tylko... edukowałam.

Spojrzał na mnie dłużej, niż było to konieczne. W jego oczach było coś pomiędzy złością a... rozbawieniem? Nie byłam pewna.

– Winslow, ty mnie kiedyś wpędzisz w kłopoty – mruknął, odchodząc w stronę zaplecza.

– Bez przesady – odpowiedziałam pod nosem, ale uśmiech, który niechcący wypłynął mi na twarz, mówił wszystko. Bo prawda była taka, że im bardziej Mason Holloway próbował mnie ignorować, tym bardziej miałam ochotę zaleźć mu za skórę. I coś mi mówiło, że w końcu mi się to uda.

Kiedy drzwi za ostatnim klientem zamknęły się z cichym stuknięciem, w barze zrobiło się dziwnie spokojnie. Tak spokojnie, że aż słyszałam, jak neon nad wejściem cicho brzęczy, walcząc z prądem. Ben przecierał blat, nucąc pod nosem jakąś starą piosenkę country, a ja zamiatałam podłogę, która pewnie widziała więcej rozlanych drinków niż ja łez.

– No, Winslow – odezwał się Ben po chwili – muszę przyznać, że masz jaja.

– Wolę określenie „charakter” – odpowiedziałam, podsuwając mu wiadro z mopem. – Ale dzięki, Ben.

– Widziałem, jak Mason na ciebie patrzył po tej akcji z Kyle’em – mruknął, zerkając na mnie spod brwi. – Nie był pewien, czy cię wyrzucić, czy ci podziękować.

– To chyba jego naturalny stan emocjonalny – odparłam z uśmiechem. – Wahanie pomiędzy irytacją a... irytacją.

Ben roześmiał się tak głośno, że jego rechot aż odbił się echem od ścian.

– Dziewczyno, ty mu jeszcze wejdiesz do głowy i już z niej nie wyjdiesz.

– Ben, błagam – przewróciłam oczami – Mason Holloway nie ma talentu do takich rzeczy. On nawet pewnie nie wie, że istnieje coś takiego jak flirt.

– Nie lekceważ chłopca. Jak się zakocha, to będzie jak tornado.

– Będę wtedy daleko od zasięgu wiatru.

Ben znów parsknął śmiechem, a ja dokończyłam sprzątanie, czując, jak wreszcie opuszcza mnie napięcie nagromadzone przez cały dzień. Kiedy wyszłam z baru, noc była chłodna, ale nie nieprzyjemna – taka, która pachnie kurzem, dymem i spokojem. Mój mały dom znajdował się na obrzeżach Prairie Rose, tuż przy drodze prowadzącej na stare ranczo Samuela. Wynajmowałam go od państwa Porterów – najstarszego małżeństwa w okolicy. On był głuchy jak pień, ale zawsze machał mi z werandy, a ona drobna jak wróbelek, wiecznie z wałkami we włosach i komentarzem na końcu języka.

– Dobry wieczór, pani Winslow! – krzyknęła pani Porter, kiedy przechodziłam obok. – Znowu późno wracasz!

– Taki urok pracy w barze, pani Porter! – zawołałam z uśmiechem. – Ale za to mam darmowe drinki!

– Pijesz w pracy?

– Tylko wtedy, kiedy klienci próbują mnie poderwać!

Starsza pani prychnęła śmiechem.

– To pewnie pijesz codziennie, dziecko!

– Prawie! Dobranoc!

W domu pachniało lawendowym mydłem, którego używała poprzednia lokatorka. Małe wnętrze, drewniany stół, stara kanapa, kilka książek na parapecie i radio, które czasem łapało jedną stację, a czasem tylko szumiało. Nie potrzebowałam więcej. Dom był cichy, ciepły i tylko mój.

Zrzuciłam buty, zrobiłam sobie herbatę i usiadłam na schodkach przed domem. Cykały świerszcze, gdzieś daleko za drzewami mignęły światła samochodu. Pomyślałam wtedy, że może...

może to właśnie jest to. Nowy początek. Nie był idealny. Był pełen niewiadomych, sprzeczek i ludzi, którzy mówili więcej, niż powinni. Ale pierwszy raz od dawna miałam wrażenie, że jestem we właściwym miejscu.

Telefon zawibrował w kieszeni spodni. Raz. Drugi. Trzeci. Westchnęłam. Oczywiście, że to oni. Zawsze pisali o tej samej porze – jakby mieli ustawione przypomnienie, żeby nękać niepokorną córkę, która postanowiła żyć bez idealnie rozpisanego planu na życie złotej zastawy obiadowej. Spojrzałam na ekran.

Mama: Abigail, twój ojciec mówi, że wciąż możemy ci załatwić pracę w firmie. Nie musisz siedzieć w tym... barze.

Mama: Nie rozumiemy, co cię tam trzyma. Tam nic nie ma.

Mama: Odezwij się, kiedy zmądrzejesz.

Zamrugałam, wzięłam łyk herbaty i przewróciłam oczami.

– Ach, mamó... – mruknęłam do siebie. – Ty nawet szczęście próbowałabyś wyprasować i oprawić w ramkę.

Przytrzymałam palec na ekranie i przeniosłam wiadomości do archiwum. Bez odpowiedzi. Nie chciałam wracać. Nie chciałam znowu być Abigail Winslow, córką państwa Winslowów z Dallas, tą, którą uczono, że wartość człowieka mierzy się marką samochodu i nazwiskiem projektanta ubrań, które nosi.

Tutaj byłam po prostu Abby. Dziewczyną z baru, która czasem śmiała się za głośno, a czasem prowokowała swojego szefa tylko po to, by zobaczyć, jak się krzywi. I mimo że moje życie tutaj było dalekie od doskonałości – zamiast kryształowych kieliszków miałam wyszczerbiony kubek, zamiast marmurów skrzypiącą podłogę – to po raz pierwszy od dawna czułam, że oddycham.

Zamknęłam oczy, słuchając świerszczy. Pośród ciepłego powietrza i zapachu nocy coś we mnie szeptało, że wszystko się ułoży.